Rozmaitości

DNIA 19. GRUDNIA **Ner 51.** 1835 ROKU.

KOCHANKA TAJEMNICZA.

Ułamek z dziennika podróży.

Obiegłszy całe pasmo romantycznych Bieskidów i Tatrów, na jesień zdążałem do Krakowa, gdzie spodziewałem się zastać kilka znajomych mi domów z rodzinnéj Litwy. Umysł mój, napełniony olbrzymiémi widokami Karpat, nie umiał jeszcze rozgościć się w tym nowym dla siebie żywiole; potrzebowałem spoczynku, potrzebowałem spomnień przeszłości, ażeby otrząsnąć się z tego wiru, ażeby, jak w czasach stworzenia, ponaznaczać miejsca górom i dolinom, strumykom i jeziorom, łąkom i lasom, ażeby powyjmować osobne obrazy i porozwieszać je w galeryi fantazyi. Kraków właśnie był owém miejscem rozmyślania i wytchnienia, tu, rzekłem, słodko marzyć na gruzach minionych wieków — tu źródło ożywnéj treści, a z tych mogił, jak z trzech gór ognistych, mogą się wysypać zarzące węgle na całą płaszczyznę. Z takiémi uczuciami wjeżdżałem do miasta jagiellońskiego; piérwszy krok, który uczyniłem z mojéj gospody, był w celu dowiedzenia się o ziomkach i znajomych moich. Z jakąż radością znalazłem kogom się ujrzeć spodziewał: kilku przyjaciół lat dziecięcych, kilka domów, gdzie mię dzieckiem znano; tyle pokarmu dla serca. W téj chwili wierzyłem w bajki i czary, wierzyłem w ów płaszcz czarnoksiężki, na którym siadłszy, można w mgnieniu oka w najdalsze strony się przenosić; ja się przeniosłem w rodzinną Litwę! Salon jenerałowéj S. miał dla mnie najwięcéj powabów, nie już dla tego, aby tam mniéj było czczości i fałszywego blasku, niż w innych salonach, albo mniéj wymuszenia, pochodzącego z uroszczeń do wyższości i utrzymania się w sferze dobrego tonu — o nie, tam wszystko stosowało się do wielkiego świata, prócz jednéj Elizy, córki jenerałowéj, istoty czułéj, z sercem ukształconém, mogącéj ożywić głazy, sobą zaludnić najdzikszą pustynię. Takie przymioty, przy pięknych oczach, wysmukłéj kibici, silnie musiały pociągać, nie tylko mię, ale i wszystkich, którzy wstęp mieli do tego domu. Towarzystwo tych osób stało się dla mnie chlebem codziennym, człowiek tak łatwo zostaje dzieckiem nałogu.

Pewnego wieczora, poźniéj niż zwykle, wchodziłem do salonu jenerałowéj, a zrucając płaszcz w przedpokoju usłyszałem dźwięk fortepianu i głos Elizy. Głos Elizy, któregom dotąd nie słyszał. Wchodzę, zastaję grono otaczające fortepian. W oczach Elizy wyczytałem owe zachwycenie anielskie, walczące ze łzami rozczulenia. Jakaż treść téj piosenki, pomyślałem; czylito jaka spiewka kochanka Maryli wyciska łzy i do westchnień wzrusza? Lecz nie — byłato następująca zwrotka:

»Wyrzeknij słowo! dusza moja woła;
Lauro! o jedno błagam cię westchnienie;
Na moje skronie uroń łzę anioła,
Spojrzyj, a życie oddam za spojrzenie!
Bytu się wyprę — za jedno spojrzenie.«

Byłato i ostatnia zwrotka. Przez kilka chwil nastała głęboka w całym salonie cisza, podczas któréj czuła Eliza otarła piękne ciemne oczy, i ukryła twarz w chustce; jakby sama jedna chciała się zostać ze swojém wzruszeniem. Lecz piękne dowcipy nie zdołały tak długo utrzymać się w sferze sentymentalnéj; z początku z cicha, potém coraz głośniéj i wyraźniéj, wyrywały się złośliwe uwagi, nad owémi zwrotkami do Laury; większość dała zdanie, żeto są ohydne wiersze, że poeta jest człowiekiem niegodnym spomnienia, po-

tworą — a Laura, a Laura, że jest... tego niepodobna powtórzyć, byłyto okropne, zabijające wyroki! Całe koło przybrało ton jakiś tajemniczy, który gorzéj potępiał poetę i jego kochankę, niż najgrubsze obelgi. Rzecz potrzebowała wyjaśnienia.

Z licznych opowiadań dowiedziałem się, iż Gustaw Dowmund, Litwin, autor téj piosenki, byłto rozpustnik zawołany, zakała czystości obyczajów dobrze wychowanego świata! awanturnik — słowem, poczwarna kopija Byrona. Już od trzech lat osiadł on w pięknym wiejskim pałacyku w okolicach Ojcowa, gdzie w potajemnych związkach żyje z jakąś kobiétą, któréj nikt dotąd nie widział, którą zamyka i strzeże jak Turek, którą tylko w poezyjach dał poznać światu pod imieniem Laury.

»Ach mamo!« przerwała Eliza, »zbyt surowo go sądzisz!« — »Nie broń go!« odpowiedziała jenerałowa; »niechby i dziesięć razy lepszym był, jak jest poetą, dla tego zawsze w oczach moich będzie poczwarą.«

Prawie wszyscy poszli za tém zdaniem, prócz jednéj Elizy, lubo nie śmiejący się odezwać ze swojém przekonaniem, jednakże w sobie zamykającéj wyobrażenie wzniosłe o kochanku Laury. Wszyscy go potępiali; jedni dowodzili, iż Dowmund wykradł Laurę z jakiegoś haremu, kiedy się, jak korsarz grecki, awanturował na Wschodzie; drudzy, że to jest uwiedziona małżonka jakiegoś bankiera, a nawet że to jego własna siostra. Jedna z poważnych dewotek zaręczała wszystkich z pewnego źródła, iż Laura jest jego rodzoną córką!

»A ja głowę stawię w zakład,« rzekł do mnie stary jeden wojskowy, głośny z intryg swoich z kobiétami, »że to będzie baletniczka z paryzkiéj opery, któréj on jak smok zaklętych skarbów zazdrości.«

Nie mieszając się z mojém zdaniem do surowych sądów, jakie o charakterze Dowmunda wygłaszało towarzystwo salonu; w duchu oddawałem cześć Elizie; jednéj, która na grzesznika nie podniosła kamienia; w duchu wyobrażałem sobie poetę wraz z jego kochanką za istoty nie z tego świata; wyższe nad przesądy i reguły *dobrego tonu*. Milczałem jednak — milczałem jak Eliza, i to była cała potępionych obrona.

Parę jeszcze tygodni zabawiłem w Krakowie, i co wieczora tysiące bajek o poecie dziwaku, nabijało się w uszy moje. Już zaczęła mię nudzić owa miejscowość, już przemyśliwałem jakby w świat wylecić i nabrać nowych wrażeń, pojęć, jak rozgrzać ducha przez starcie się z światem pełnym ruchu i życia. Już marzyłem o Paryżu, o jego uciechach, powabach, o téj widowni namiętności ludzkich, gdzie dzień jeden obfitszy bywa w wypadki, niż najdłuższe życie człowieka z krwią gęstą i umysłem nabitym abstrakcijami; kiedy pewnego poranku z poczty odbiéram list od mego opiekuna z pozwoleniem zwiedzenia Włoch i Francyi. Jakaż moja radość! jak prędko z marzenia przeszedłem do prawdy! Równo z dniem konie pocztowe i powóz zabiegły przed moję gospodę. Puszczam się w podróż. Com widział, czuł, nie tu miejsce prawić. Zdarzenia lecą do kresu najkrótszą drogą, a poboczne ustępy umykają z myśli, jak jeźdzcowi lasy i pola.

W liczbie rodaków, z którymi najściśléj zaprzyjaźniłem się za granicą, był młody Litwin, Witold G., uczeń szkoły politechnicznéj w Paryżu. Nie można było znaleźć dwóch charakterów sprzeczniéjszych z sobą, jak nasze, i składających się z żywiołów tak niepogodzonych jak ogień z wodą; a razem mimo takiéj niezgodności, tyle czujących pociągu do siebie. Witold tyle był poważnym i sęsatem, ile ja trzpiotem i wesołym; tyle zimnym i umiejącym nad sobą panować, ile ja żywym i namiętnym. On filozoficznie każde anatomizował uczucie, każde wzruszenie, kiedy ja ślepo biegłem za niemi. Zdania jego, bądź w moralnym, bądź w politycznym względzie polegały na ścisłéj rachubie; moje przeciwnie najczęściéj szły z natchnienia. Z tém wszystkiém, człowiek ten najniepoetyczniéjszy, który najlepiéj lubiał rozprawiać nade mną o moim szale, o moich uniesieniach, strofując mię porządnie za każdę razą, posiadał całe moje przywiązanie, większe niż ci, którzy mi pobłażali. Niekiedy używałem na nim prawa odwetu, dowodząc mu, że jego wyrachowany rozsądek, równie jak moje młodzieńcze szały, nie zasadza się na — niczém.

Dopiéro z nadchodzącą wiosną wracałem do Krakowa; po wyjezdzie z Paryża zwiedziłem Rzym, Medyjolan, Wenecyją, bo czyż mógłbym odezwać się z tym chlubnym wyrazem: podróżowałem! gdybym téj ziemi

klasycznéj nie zwiédził? ziemi powiadam — o ludzi nikt nie pyta.

Jeszczem się nie był rozgościł i opatrzył w moich znajomościach z przeszłéj jesieni, kiedy pewnego poranku służący mój wchodzi, oznajmując mi przybycie pana Dowmunda.

Zerwałem się, poskoczyłem ku drzwiom; wspomnienie owych wieczorów u jenerałowéj S., owe poezyje do Laury, ów tajemniczy Dowmund, wszystkoto razem stanęło mi w wyobraźni, zdraźnionéj niepohamowaną ciekawością. Drzwi się otwiérają — któż odmaluje moje zdziwienie, kiedy, proszę zgadnąć — kiedy miasto Dowmunda ujrzałem spokojne oblicze mego przyjaciela Witolda G. L.. On piérwszy wszczął mówić, bo ja oniemiały stałem w obec niego z wlepionémi oczyma:

»Czyż mię nie poznajesz Henryku?« zapytał.

»Cóż znaczy ta odmiana nazwiska? Co roztropny Witold G. może miéć wspólnego z dziwakiem Dowmundem?«

»Rzecz najprościéjsza w świecie. Dowmund był moim ciotecznym bratem, a razem ostatnim swojego rodu. Wyrobił on sobie u dworu, iż po jego śmierci nie tylko majątek, lecz i nazwisko jego dziedziczę. On umarł, widzisz więc przed sobą Witolda Dowmunda.«

»Aha!...«

»Dokądże fantazyja cię uniosła, że ze zdziwienia nie możesz jeszcze ochłonąć?«

Uwagi o zimnym rozsądku, których swoim zwyczajem zawsze mi udzielał, lubo mię niecierpliwiły, nie mogły jednakże wstrzymać mię, abym mu nie rzucił się na szyję.

Jako pan dziedziczny nazwiska i obszérnych majętności po swoim bracie, przybył on do Krakowa, aby objąć w posiadłość bogatą i piękną puściznę w kilku prowincyjach. Wszystko mi naraz w pamięci stanęło, com kiedykolwiek słyszał o nieboszczyku Dowmundzie, tysiące pytań zadałem Witoldowi, lecz ten odpowiadał zimno, z pewnym rodzajem skrytości, słowami, które ważył i cedził.

»Lecz Laura, ubóstwiona Laura — cóż się z jego Laurą stało?«

»Jakżeś ciekawy! Laura mieszka w wiejskim pałacyku w okolicy Ojcowa, w siedlisku niegdyś brata mego.«

»Widziałeś ją? Powiedz, czy znasz Laurę? Znać kochankę poety, jestto poznać połowę jego świata. Wierzaj mi, nie tyle pragnąłbym poznać Marylę, która przeniosła bogacza nad poetę-kochanka, jak tę Laurę, która dla poety wzgardziła światem i czczością jego!«

»Marzenia zapalonéj głowy!«

»Powiedź, czyś widział Laurę?«

»Widziałem ją. Lecz daruj, że cię pożegnać muszę,« dodał spoglądając na zégarek, »dzisiejszego poranku wiele jeszcze mam do załatwienia. Właściwie przybyłem do ciebie z propozycyją, czyli dnia jutrzejszego nie zechcesz mi na wieś towarzyszyć. Droga, lubo na wiosnę niezmiernie ciężka, jednakże konie mam dobre, w parę godzin staniemy na miejscu.

Wezwanie to, lubo w zimnym tonie, przyprowadziło mię do szalonéj radości.

»Najchętniéj, z całéj duszy!« zawołałem.

»Więc zgoda, ztąd mamy dwie godzin drogi; o piérwszéj przybędę po ciebie, abyśmy na obiad do domu zdążyli.«

Zaledwie powóz Witolda z łoskotem oddalił się po bruku; kiedy natychmiast wysłałem służącego do krawca, aby mi czém prędzéj ubior myśliwski odnosił. Cały dzień przeszedł na bieganiu za oczekiwaną suknią. Wieczór poświęciłem cudownym dumaniom. Śpiéwałem najpiękniéjsze i najtkliwsze piosneczki, głos fortepianu mego rozlegał się po wszystkich pokojach, sto razy powtórzyłem wiersze Dowmunda, przeczytałem sonety Petrarchy i Adama.

Nazajutrz z niecierpliwością oczekuję piérwszéj godziny; powóz zachodzi, siadam. Co za męka! w nocy dészcz zlał ulewny, droga popsuta; konie ciągną jak w pługu. Wszystkich dokładałem usiłowań, aby się przekonać widoczném niepodobieństwem prędszéj jazdy, aby utłumić gorączkę niecierpliwości.

Na twarzy Witolda malowała się najzupełniéjsza spokojność; myślałbyś, że w jego głębi nigdy nie budziły się gwałtowne uczucia. Przez drogę rozprawiał wiele o ekonomii politycznéj, o poprawie gruntów, o chowie bydła. Słuchałem z poddaniem się, lecz słowa te padały na serce moje, jak krople topiącego się lodu. Częste nawet westchnienia, które z mych piersi dobywałem, nie zdołały go odwieść od tych uwag, zabijających wszelką cierpliwość. Żadne pole, żadna łąka, żadne drzewko, żadna pokrzywa, nie uszły postrzeżeniom agronoma. Gdybym nie znał tła, na

którém charakter jego osnuty, całe to obejście się ze mną byłbym wziął za szyderstwo i złośliwość. W końcu dopiéro, po długiém chodzeniu po manowcach, udało się mi naciągnąć rozmowę o bracie jego.

»Ach brat mój!« rzecze Witold pospiesznie. »Chcesz wiedzieć jego dzieje, opowiém ci je w krótkości: w dziesiątym roku Gustaw był najkrnąbrniéjszém dzieckiem, w pietnastym najgorszym uczniem w szkołach, od dwudziestego obleciał już pół świata; bił się w Grecyi, w Hiszpanii, w Algiérze — wszędzie; w dwudziestym piątym styrał do szczętu zdrowie, a w dwudziestym ósmym umarł z obłąkania w swojéj wiosce, do któréj właśnie zbliżamy się. Biédny Gustaw! szkoda człowieka!

»Jakto umarł z miłości do Laury?!«

»Tak jest — z miłości do Laury,« odpowiedział Witold. Na twarz jego wystąpił cień najgłębszego smutku, głowę zwiesił na piersi i milczał. Ja również utonąłem w dziwnych marzeniach, z których nie ocknąłem się prędzéj, aż mię zaleciała woń rozkwitłych wiszeń i jabłoni z rozkosznego ogrodu, w którym stał prześliczny pałacyk kochanka Laury.

Smak angielski, połączony z wygodami angielskiego zbytku, powabną tworzył tam sprzeczność z okolicą dziką, pełną olbrzymich widoków. Pałacyk zdawał się być zamieszkanym, bo wielu domowników wybiegło na nasze przyjęcie, a wszyscy prawie w grubéj żałobie. Udawszy się do wskazanego mi pokoju, najstaranniéjszą zrobiłem toaletę. Na odgłos dzwónka, wzywającego do obiadu, zbiegłem czém prędzéj i wprowadzony zostałem do nie wielkiego salonu, gdziem zastał Witolda, zajętego czytaniem. Na zbliżenie się moje, zmierzył mię od stóp do głów, i — uśmiéchnął się.

»Siadajmyż do stołu;« rzekł do mnie, podając mi rękę, »poeta, który, jak ty, rozumié się na wiązaniu fontazia u chustki, należy do człowieczego rodzaju, a tém samém musi miéć równie prozaiczny apetyt, po kilkogodzinnéj drodze, jak każden z nas najlichszych i najprościéjszych istot śmiertelnych.«

Na stole dwa tylko było nakrycia. To mi zaraz popsuło humor; zawiedziony w oczekiwaniu, nie śmiałem się odezwać, dla czego jeszcze jednéj osoby nie widzę. Kiedy, niekiedy, ukradkiem rzucałem spojrzenie to ku jednym, to ku drugim drzwiom, całą jednakże niecierpliwość moję starając się pokryć obojętną wesołością i żartami. Imię Laura ani razu nie było wspomniane; Witold miał jakiś uśmiéch na ustach, w którym, jeźli nie przebijał się wyraz szyderczy, to coś takiego było, co mnie nieprzyjemnie bodło; słowem, byłto uśmiéch człowieka pełnego rozumu, pół-litośny, pół-złośliwy, niby chcący powiedziéć: bardzo z ciebie przyjemny młodzieniec... masz dużo pięknych przymiotów, tylko zdrowego rozsądku — nie wiele.

»Teraz kochany mój poeto!« rzekł w parę godzin po obiedzie, podsuwając mi butelkę z winem, i dając znak służącym, aby odeszli; »wyznaj szczérą prawdę, że niecierpliwość ujrzenia pięknéj Laury, śmiertelnie cię dręczy. Uspokój się. Będziesz ją widział; ręczę ci słowem. Historyja téj kobiéty bardzo jest dziwna, a oraz tak szczegółowie długa, że nie byłbym w stanie wszystkiego teraz opowiedziéć. Co się zaś jéj piękności tyczé, bądź pewnym, że bez obawy ściągnienia na siebie zarzutu przesady, wyznaję, iż wdzięki jéj przechodzą wszystko, cokolwiek wasza fantazyja wymarzyć może. Człowiek tak prozaiczny, jak ja jestem, darmoby silił się odmalować ci Laurę; zostawiam to malarzowi szczęśliwszemu ode mnie.« To rzekłszy dobył z zanadrza mały pakiecik: »Oto pugilares, w którym znajdziesz listy i różne wiérsze mego brata, dużo tam zamętu, nieładu; często i sęsu nie schwytać, lecz z resztą poezyi, poezyi mnóstwo. Człowiek z takim duchem, z tyloma talentami (byłbym się nizko mu ukłonił gdyby nie złowieszczy uśmiéch na ustach), słowem, człowiek jakim ty jesteś, odgadnie, domarzy, choćby do połowy tylko rzecz jaką widział; a tém bardziéj te listy, te wiérsze na tyle dostarczą ci rysów, że najdoskonalsze poweźmiesz wyobrażenie o czarującéj boskości Laury... Już późno być musi — dobranoc. Frańciszku!« rzekł odchodząc do starego kamerdynera, »odprowadzisz pana do jego pokoju — czy rozumiesz Frańciszku, odprowadzisz pana do jego pokoju, i pogasisz światło w wielkiéj sali, jeżeliby tam muzyki nie było.« — Podług wszelkiego podobieństwa nie było muzyki w wielkiéj sali; albowiem przez całą godzinę stałem na balkonie w moim pokoju, nadaremnie natężając uszy.

Nieznośny ciężar zwalił się na wszystkie moje zmysły — tonąłem w domniemaniach. Witold był dla mnie istotą nieodgadnioną. Po długiém kołowaniu na drodze domysłów przyszedłem do tego prostego wniosku, że on namiętnie zakochanym jest w Laurze, że ma skryte widoki, dla których nie pozwala mi widzieć Laury. Zapewne przyjazd mój na wieś winienem niedojrzałemu ukartowaniu jego planów; oglądnął się, i teraz żałuje pośpiechu; radby błąd cofnął, naprawił, ale już za późno. Puścił się drogą podstępu! Biédny, zakochany Witoldzie!... Jakażto różnica między jego surową powagą, jego zimnym, częstokroć nudnym rozsądkiem, a moją lekkomyślną łatwością, moją namiętną, żywą duszą!... Ta myśl przywróciła mi niebawem utraconą spokojność. Zapalam dwie świéce, otwiéram pugilares, w którym były listy, wiérsze, ułamki z pamiętników pisanych prozą; a wszystko mniéj więcéj stosujące się od jednego przedmiotu — do Laury. Z początku chęć pochwycenia treści wadziła mi, że nie mógłem uwagi całéj poświęcić szczytnemu talentowi wieszcza. Dzieje Laury zajmowały mię nieskończenie.

(Dokończenie nastąpi.)

JAN Z KENT.

Legenda z roku 1450.*)

Biada grzeszniku, o biada tobie,
Który o ciała baczysz ozdobie,
A zapominasz płochym obłudem,
Że dusza twoja skalona brudem.

I biada temu, przez czyje progi
Wchodzą sandałem ubrane nogi;
Nato baczenia zasię nie dawa,
Że wchodącego dusza plugawa.

Taki co stroje bogate stracił,
Aby swą duszę cnotą zbogacił,
Jeźli go przyjmiesz już w twoim domie,
Z gościem przebywa Bóg niewidomie.

Jako na suche kiedy zagony
Spada dészcz z nieba nieprzepłacony,
Spada perłowéj podobień rosie
Na łąki gołe po ostréj kosie.

Tak na krainę miodu i chleba
Opatrzném okiem spojrzały nieba,
Z nieba dla polskiéj ziemi był dan
W Kentach zrodzony, pobożny Jan.

Jeszcze drobniuchny był młodzieniaszek,
A już unikał żabaw, igraszek;
Z książeczką w ręku, albo z paciorkiem
Klęczał w kaplicy rankiem, wieczorkiem.

Wygody ciału swemu nie dawał,
I twardo sypiał, o świcie wstawał,
A nie posilił chlebem się wprzód,
Jeźli bliźniego obaczył głód.

A że pod cnoty służył proporcem,
Nie chciał go Pan Bóg ukryć pod korcem,*)
By perłę każde widziało oko,
Wyniósł na świecie perłę wysoko.

Drogą, co palec kreślił mu boski
Idąc, do szkoły wstąpił krakowskiéj;
Rychło go ramię Boże przeniesło,
Z ławicy ucznia na mistrza krzesło.

Byłoto w czasie, kiedy na tronie
Litwy był Zygmunt, Kaźmiérz w koronie,
Co tak przywalił krzyżaka bojem,
Że klęczącego dał synom swoim.

A sześciu synków rosło przy królu,
Trzech królowało w ojczystym [illegible]u,
A dwóch na trony wzięto sąsiednie,
Jako królewskie nasienie przednie.

I pięć dziéweczek hożych, jak kwiatki,
Kwitło przy boku kwitnącéj matki,
Z królem się rządu dzieliła trudem,
Królowa dziećmi, król rządził ludem.

Raz posłyszawszy o Janie Kentym,
Nauką mądrym a cnotą świętym,
Zapragnie aby synkowie mali
Z świętych ust święte pismo słuchali.

Więc śle pachole swoje do Jana,
Prosząc nazajutrz na ósmą z-rana;
O ósméj rannéj rada królowa
Z synami słuchać świętego słowa.

Szedł Jan wezwaniu temu posłuszny,
A żeto właśnie dzień był zaduszny,
Więc do kościoła zboczył z ulice,
Widząc w ołtarzu tlejące świéce.

Dzwonią na *Sanctus*, alić na wieży
Zamku godzina ósma uderzy;
A nim dosłuchał *wotywy* całéj,
Na wtóry kwadrans zégary grały.

Ksiądz *Ite missa* do ludu rzekł,
Powstał Jan, spiesznie na zamek biegł,
I myślał: »Jakąż powiém przyczynę?
Żem wyznaczoną chybił godzinę.«

Biegł na zamkową patrząjąc wieżę,
Alić w ulicy starca postrzeże,
Drżący o kiju, w starej kapocie,
Boso po śniegu deptał i błocie.

---

*) Wedle kroniki.

*) Wyrażenie się legendzie współczesne.

Wstrząsając głową i siwym włosem,
Drżał od wielkiego zimna, i głosem
Drżącym zawołał: »Ach litość miéjcie
Obuwiem bose nogi okryjcie.«

Boleść dotknęła Janowe serce
Widząc staruszka w téj poniewierce,
Litością niesion, do szaty sięga,
Alić nie było w sakwie szeląga.

A starzec wołał: »Wy litość macie,
»Bosym mym nogom obuwie dacie.
»Niechaj nie wołam wsparcia daremno;
»Miéjcie o panie litość nade mną.«

Gdy tak litośnie staruszek wołał,
Czyż sercu swemu oprzéć się zdołał
Jan dobroczynny — serce którego
Bolało widząc boleść bliźniego.

Więc odwiązawszy od nóg rzemyki,
Swoje starcowi daje trzewiki —
A w tém dziewiąta bije na wieży,
Pożegnał starca, na zamek bieży.

Minął dziedziniec jeden i drugi,
Wchodzi w przysionek; zdziwione sługi,
Patrząc na bose księżyny nogi,
Nie dali wstąpić w królewskie progi.

Jan prosi: »W izbę króla mię zawiedź!«
Lecz prośby Jana nie słucha gawiedź,
Szydząc i łając biédnego księdza,
Wraz kijem grozi, za próg wypędza.

W tém się otwarły podwoje z trzaskiem,
Świecąca wdziękiem i stroju blaskiem
Wyszła królowa, z nią córy śliczne
I pokojowców grono rozliczne.

Z różańcem w ręku szła do kościoła,
Z ziemi nie wznosząc oka, ni czoła,
Jak ten co w myśli swe prośby waży,
Kiedy się zbliża do króla twarzy.

Obcego w progu potrzegłszy człeka,
Stanęła pani; zrazu z daleka
Patrzy, nareszcie przemówi skromnie:
»Ojcze! przychodzisz ty może do mnie?«

Na co Jan temi rzeknie wyrazy:
»Królowo! twoje spełniam rozkazy —
»Przebacz, że w późną dobę przychodzę,
»I że obuwia nié mam na nodze.« —

»Witaj mi Janie!« rzekła królowa,
Rękę podała mówiąc te słowa,
I Jana rękę trzymając w swojéj,
Do złotych króla wiodła podwoi.

I był od króla mile przyjęty,
Mądry nauką, a życiem święty —
A odtąd bywał w królewskim domie,
Z Janem przebywał Bóg niewidomie.

JADAM.

WYIMKI Z PODRÓŻY PO GALICYI
w r. 1831.
(Ciąg dalszy.)

Słońce żegnało już doliny, całując różowémi promieniami wierzchołki gór przyległych, gdym zdążył do miasta Starego-Sącza. Droga wiodła mię koło wzgórza okrągłego, zwanego Winną-Górą; nazwa szczególna zatrzymała mię przez chwilkę na jednem miejscu. Właśnie szedł tamtędy staruszek, podpiérając kosturem mdłe swoje członki; tego pozdrowiwszy prosiłem o udzielenie mi niektórych wiadomości miejscowych. »Trzeba »o tém wiedzieć (odrzekł staruszek), iż okolica owa daw»némi laty wielce była bogatą. Stare to miasto leżało po »obudwóch stronach rzéki Popradu; zbudowali je one »wielkoludy, co tak jak wieże byli wysocy, z téj góry gdy »jeden stąpił krokiem, mógł podać siekiérę drugiemu, sto»jącemu przy oném *hajnok*)* za miastem podgórzu. Rzéka »Poprad dzień i noc pokrytą była różnémi łodziami i »statkami z winem od Węgier tu płynącémi. Na górze »była wieża, oj bardzo wysoka, nie dawno jeszcze piw»nice w niéj zasypano, a na wieży gorzał nocą ogromny »kaganiec, który na dwie mile do koła jadącym po wo»dzie przyświécał; pod górą było w rzéce miejsce zmu»rowane, gdzie statki przybijać mogły. Cała zaś góra miała »zewsząd bujne winnice, z których wino i węgierskiemu »nie ustępowało. Nie bardzo dawno temu — jakto mój »nieboszczyk ojciec, Panie świéć nad duszą jego! pra»wili — zepsuł Węgier jeden cały urodzaj góry ze za»zdrości. Zakopał coś w górze i już więcéj wino się »nie udawało. W Starém-Mieście założyła Śta Kunegunda »swe mieszkanie i ten klasztor; nie było w nim wody, »zasadziła więc laskę swą pod murami, laska rozkwitła, »a z pod niéj trysnęło źródło czystéj wody, którą się »ludzie aż z strón dalekich léczyli. Przed kilkoma laty — »już to za mojéj pamięci — gdy mieszczanin jeden »drzewo to stare, które z laski wyrosło, ściął na użytek, »ustała i cudowna moc wody. Prócz tego przywiodła »Śta Kunegunda za sobą z Węgier rzékę Poprad, płynie »ona tam, gdzie laską miejsce jéj naznaczyła. Jeszcze po »śmierci téj Świętéj było miasto szczęśliwe; jednak mie»szczanie zuchwali różne popełniali nieprawości. Na»pomniał ich kilkakrotnie ojciec Jakób z klasztoru Fran»ciszkanów, przepowiadając upadek miasta; ale to nic »nie pomogło. Wkrótce wpadli do kraju straszni nie»przyjaciele, mieszczanie wywieźli wszystkie swe skarby »trzy mile ztąd do wsi Przyszowéj i tam je w jaski»niach obszérnych pod górą ukryli. Dwa jawory przy »sobie stojące, a których siedm tylko na całéj było górze »znaczyły wchód zasypany do pieczar. Lecz wojna bardzo »długo trwała, spróchniały tymczasem wszystkie jawory, »a gdy się po całéj górze wiele zawalonych miejsc znaj»duje**), nie mogli mieszczanie już więcéj trafić do »prawdziwego otworu. Takto oni zubożeli, skarby ich »bowiem dopiéro wtedy się wynajdą, gdy klasztor ten »słomą będzie pokryty, a krwiste wzbiorą rzéki.« Na tém skończył swoje opowiadanie; jużeśmy też prawie doszli do samego miasta, a noc spokojna szérzyła swe cienie. Odezwał się posępny dzwonek klasztorny, staruszek uchylił swéj czapki i ukléknąwszy przy najbliższej kapliczce, zmówił wieczorne swe paciérze. Pożegnałem go, podziękowawszy mu czule za powieść i udałem się do miasta na spoczynek.

*) Wyrażenie się gminne, znaczące: oto tam.

**) Miejsca podobne, jako wchody do jaskiń podziemnych, pokazywał mi P. Żuk Skarzewski w Przyszowéj na górze zwanej Łyżka, na któréj także był niegdyś zamek. Podług opowiadań ludu tamtejszego miały jaskinie te służyć za schronienie Śtéj Kunegundzie w czasie napadów tatarskich.

Nazajutrz rano pospieszyłem oglądać mieszkanie królowéj Kingi. Klasztor ten obszérny, założony już w wieku 13stym, jak się zdaje, wziął kształt dzisiéjszy dopiéro w wieku 17stym. Kościoł w środku ma liczne malowania, wyobrażające żywot cały Śtéj Kunegundy; pod każdym obrazem dwuwiérsz polski, tak n. p: koło zakrystyi na drzwiach obraz z następującym napisem:

Bolesław z Kunegundą i biskup Prandota*),
Święte kości podnieśli Stanisława z błota.

Kazalnica pięknością swą każdego zadziwia. Na spodzie leży w naturalnéj wielkości mąż stary w zawoju, z piersi wyrasta mu winna macica, na któréj konarach śród winogron rozmaici królowie stoją, w samym zaś środku umieszczona kazalnica. Cała ta robota sztuczna jest wyzłocona i stawiana r. 1671, jakto widać z napisu. Ciało Kunegundy spoczywało za kratą niegdyś w trunnie srebrnéj, dziś tylko w woskowéj; ręka zaś téj Świętéj oprawna w hojnie złocony i ozdobiony krusiec, wystawiona jest przed kratą dla odwiédzających. Droga podziemna, wychodząca z piwnic klasztornych, podług podania ma prowadzić przez trzy mile aż do góry jednéj w wiosce Krynicy, gdzie przed otworem co roku o czasie pewnym nocną porą — podług powieści — przyjeżdza jeździec jakiś czarny i do otworu wpada.

Przyczyny dotąd nieodgadnione spowodowały Kunegundę, żonę Bolesława Wstydliwego, króla polskiego, jeszcze za życia męża wstąpić do klasztoru. Obrała w tém celu zakon Śtéj Klary i zbudowała r. 1279 klasztor w Starym-Sądczu. Dwie siostry jéj: Konstancyja, żona Daniela, księcia halickiego, i Jolanta, zaślubiona Bolesławowi Pobożnemu, księciu kaliskiemu, po zgonie swych mężów tu także mieszkały. Kunegunda umarła r. 1292. Długosz, żyjący przez długi czas w Nowym-Sądczu, napisał żywot jéj po łacinie, i oddał go zakonnicom w Starym-Sądczu**); miał on być posłany do papiéża z prośbą o jéj kanonizacyję. Poźniéj klasztor ten służył najznaczniéjszym kobietom ze krwi królewskiéj za przytułek. Gryffina, żona Leszka Czarnego, przebywała tu długo po śmierci męża swego, poźniéj zaś Helena, małżonka Władysława Łokietka. Tutaj pochowany jest także Andrzéj, królewicz węgierski, który r. 1292, umknąwszy do Polski, przyjęty został od księcia Przemysława. Lecz Węgrzy, najęci od brata jego króla węgierskiego Władysława, utopili go w rzéce Nidzie. Klasztor starosądecki celował nad inne bogactwami. Cała prawie ziemia sądecka należała do niego, już bowiem r. 1275 zapisał król Bolesław żonie swéj w Korczynie całą ziemię sądecką. Poźniéj zaś r. 1280 Leszek Czarny w Sądczu drugi dał jéj zapis, w którym nadaje wiecznémi czasy miasto Stary-Sądcz z mytem na Popradzie i wieloma włościami, zapewniwszy sobie z nich dożywotnie rocznego dochodu dwieście grzywien złota.— Drugi kościoł w mieście jest farny. Tam w kaplicach pobocznych pozawieszane są różne popiersia malowane, między innémi Anny z Szablików Bajarskiéj z r. 1719; ks. Stanisława Skrudzińskiego, kanonika kolegiaty sądeckiéj z r. 1784; ks. Fr. Bojarskiego, i ks. Fr. Józ. Petrykowskiego, opata z r. 1786. Ostatni napisał w języku łacińskim także żywot Śtéj Kunegundy i wydał r. 1744 w Tyrnawie. Pod kościołem w obszernych sklepieniach składano dawniéj umarłych. Przy jaskrawém świetle pochodni pokazywał mi przewodnik trunny prałatów i innych znacznych osób, na których jeszcze aksamitowe obicia i inne błyskotki rozeznać można. Jako osobliwszą rzecz widziałem tu pomiędzy różnémi wyschniętémi ciałami, dobrze dotychczas dochowanémi, do muru opartą młodą dziewicę 17letnią, w najpiękniéjszéj chwili życia swego, bo w dzień ślubu zmarłą. Posiniała już i zczarniała twarz cała, a piękne włosy, gdzie niegdzie na głowie wystające, świadczą o powabach dawnych; szczątki sukień jedwabnych godowych, które jéj razem za grobowe służyły, wiszą na wyschłém ciele, przetrwawszy prawie wiek cały. (Dokoń. nastąpi.)

*) Prandota z Białoczewa, biskup krakowski, dał Śgo Stanisława kanonizować r. 1242 za papiéża Innocentego IV.

**) Księgę tę, na pargaminie *in folio* ręką Długosza ozdobnie pisaną, widziałem u jednéj osoby tamtejszéj. Zawiera stron 66, na końcu podpis: *Dlugossius Longinus Anno* 1473 *Monst.* Piérwsze dwie karty wyzłacane i ozdobione malowidłem zostały wycięte. Tytuł rękopisma taki: *De vita moribus et miraculis gloriose et beate (sic) femine Kunegundis Poloniae ducisse virginis.* Na polskie przełożył księgę tę ksiądz Przecław Mojecki i wydał w Krakowie r. 1617.

PRZYPADEK
JENERAŁA MAXYMILIJANA LAMARKA.

Przez niego samego opowiadany.

Byłoto po bitwie pod Austerlitz, gdy z końcem miesiąca stycznia, jadąc do Włoch, przebywałem Tyrol śniegami okryty. Przyczepiwszy powóz do sani, spiesznie przez ten kraj przemykałem. W Lernos, miasteczku małém, rzekł do mnie postmistrz, iż teraz będę musiał przebyć wąwóz po między wysokiemi górami, z których najeżonych szczytów często lawiny spadają; niebo jest ciężko zachmurzone i wiatr silnie się zrywa, więc najlepsza będzie, gdy się do jutra zatrzymam. Ale ja nie dałem się namówić, i wziąwszy z sobą dwunastu ludzi, którzyby w drodze usuwali wszelkie zawady, udałem się w dalszą podróż. W godzinę, gdyśmy się na grzbiet góry dostali, w miéjscu, gdzie się droga po nad okropną przepaścią ciągnie, usłyszałem nad głową moją huk głuchy; postylijon wyprzągł piorunem konie, a przestraszeni wieśniacy, uciekając od powozu, krzyczeli: »Zginęliśmy! zginęli!« Zaledwiem ich krzyk usłyszał, już mię niezmierna massa śniegu przywaliła w powozie, nagła ciemność zawiązała mi oczy; dusiłem się, umiérałem, nie doznając ani bolu, ani uczucia przykrego — co się ze mną daléj stało, nie pamiętam. Poźniéj dopiéro, daleko poźniéj, gdy mnie już towarzysze i wierni słudzy moi byli odbiegli, uczułem, że jeszcze we mnie serce biło; otworzyłem oczy, i śród ciemności, którą palące się smolne łuczywa nie ze wszystkiem rozpromienić mogły, postrzegłem tuż nad głową moją sklepienie czarne. Z razu myślałem, żem już w piekle zamieszkał, ale na głos mego służącego Lescalier, który na mnie wołał: »Panie jenerale! panie jenerale! czy pan masz się lepiéj?« opamiętałem się. »Mam się lepiéj,« odrzekłem, »nie czuję bolu, ale gdzież ja to jestem?«— »Pan jesteś w rozegrzanym piecu, ażebyś się rozmarzł, natarliśmy pana wódką, i obwinęli kocem!« W krótkim czasie, gdym do sił przyszedł, wyciągniono mię z pieca, włożono do ciepłego łóżka, i tam dopiéro dowiedziałem się, że na głos dzwonu, bijącego na gwałt, zbiegli się wszyscy wsi mieszkańcy, i dopiéro po dwugodzinnéj pracy dostali się do mego powozu, zkąd mnie, pozbawionego zmysłów do gospody zanieśli, gdzie już nie jedno podobne zmartwychwstanie obchodzono. Mógłbym więc z Montaignem powiedziéć: »Umarłem, byłem w piekle, i zmartwychwstałem.« *(Merc. Fr.)*

W Sztutgardzie wyszedł témi czasy w przekładzie niemieckim piérwszy tom znanego dzieła: »Historyja prawodawstw sławiańskich Wacł. Alex. Maciejowskiego, doktora ob. praw i sędziego trybunału warszawskiego.«

Przekład powyższego dzieła uskutecznili pp. T. J. Buss, dr. filoz. i profesor przy uniwersytecie w Frejburgu, i M. Nawrocki, dr. praw.

P. Melchior Tiran wydał w Paryżu dzieło: »Rossyja podczas wojen cesarstwa *(la Russie pendant les guerres de l'empire)*. Książka ta maluje najżywszémi barwami stan ówczesnéj Francyi i Rossyi. Uczony Capefigue napisał przemowę do tego dzieła.

Nie dawno odbyło się w Paryżu w *Hôtel de Ville* posiedzenie towarzystwa zwanego: »Europejskim historycznym kongresem.« Znajdowali się na niém najznakomitsi literaci paryzcy i uczeni z prowincyj, oraz z Niemiec, Włoch, Anglii, Hiszpanii, Portugalii, Belgii, Polski i Rossyi. Prezydent p. Michaud i wielu członków miało mowy. Poczém odczytano trzy rozprawy na zadanie: »Jaki jest właściwy cel historyi?«

Dnia 28. listopada b. r. odbyło się w Paryżu ciągnienie loteryi na dochód osób zostających bez środków do utrzymania życia. Przedmioty do wygrania składały się z robót damskich i z różnych rzeczy przez nie darowanych. Los kosztował 1 franka; mnóstwo osób w Paryżu ubiegało się o należenie do tego dobroczynnego dzieła.

Napoleon śród hucznego festynu w Tuilleryjach zagadł niespodziewanie otaczające go grono, w którém się i Talleyrand znajdował: »Jak wam się zdaje, co też ludzie o mnie po śmierci mojéj powiedzą?« Wszyscy skwapliwie zaręczali mu nieśmiertelność i chwałę. »O nie! nie —« zawołał Napoleon, »tego o mnie nie powiedzą; ale ja wiém, co ludzie zrobią, oto tak... tu udał jak gdyby ogromny ciężar zrucił i odetchnął... A—h!« — »To tylko Anglija!« zawołał Talleyrand, i tym sposobem całe grono wybawił z kłopotu, powiedziawszy w dwóch słowach ulubiony komplement Napoleona.

Sławny Fontenelle i jego przyjaciel Dubois, który mu dodany był za pomocnika przez akademiję, obadwaj byli wielcy smakosze, i po bratersku dzielili się wszystkiemi łakotkami. Fontenelle otrzymał pewnego razu w podarunku szparagi. Przyjaciele zaczynają spór o sposobie przyrządzenia onych, lecz wkrótce zgodzili się, iż każdy połowę swoję podług upododobania przyrządzić każe; Fontenelle chciał mięć szparagi ze sosem, a Dubois na sałatę. Jeszcze kucharka nie zabrała się do dzieła, kiedy Dubois dostał apoplexyi. Żadne starania nie mogły go do życia przywołać — umarł, nie jadłszy nawet sałaty ze szparagów. — Kiedy minęło piérwsze zamieszanie, Fontenelle rzekł do kucharki: »Wszystkie szparagi gotować ze sosem!«

Panna Taglioni zwichnęła sobie nogę, i już téj zimy tańczyć nie będzie. Dyrektor Duponchel z tego powodu stracił głowę. Paryzka więc opera przez całą zimę zostanie bez głowy i nogi.

Témi dniami zdarzył się w Paryżu wypadek, który nowego blasku dodaje sławie paryzkich oszustów. Jakoż 6ciu czy 8miu z nich przebrawszy się za gwardzistów miejskich i za urzędników policyjnych, wpadło do mieszkania pewnego kapitalisty, pod pozorem przetrząsnienia domu. Po długiém szukaniu zapieczętowali drzwi i oddalili się. Gdy właściciel, który na wsi przebywał, do siebie powrócił, poznał się na sfałszowanéj pieczęci, którą odjąwszy, zastał skrzynie wypróżnione, z których wszystko co było lepszego przeniosło się do kieszeni oszustów.

Podczas tegorocznego zgromadzenia badaczów przyrody w Bonn, węgierski hrabia Franciszek Telecki, podał środek leczący wściekliznę, którego dostał od pewnego siedmiogrodzkiego włościanina, a ten miał go od przodków swoich przez podanie otrzymać. Bierze się 3/4 łóta **Trojeści** *(Asclepias vincetoxicum, Schwalbenwurz)* i 1/4 łóta kory z *Crataegus torminalis (Sorbus torminalis L., Sperberbaum)*, do tego dodać trzeba obranych 9 główek czosnku; to wszystko wrzuca się w nowy, niepolewany kwartowy garnek, i tak przez 12 godzin zostawać musi. Potém nakrywa się garnek i oblepiwszy go przystawia się do ognia, przy którym gotuje się całą godzinę; odstawiwszy przecedza się i ciepłe pić się daje. Mężczyzna bierze 5, kobiéta 4, a dziecię 3 łyżek. Lekarstwo zażywać potrzeba na czczo, skoro się symptomata wścieklizny okazywać zaczynają. Srodek ten wielekroć zbawienne przyniósł skutki.

Jeden ze szkockich dzienników opisuje nadzwyczajny przypadek, jakoby pewien człowiek 23 dni bez żywności w głębi ziemi zostawał. Dnia 8. października t. r. człowiek 60letni zasypany został ziemią w kopalni węgla, gdzie aż do dnia 31. t. m. przebywał, nic nie jedząc. Kiedy się ten przypadek zdarzył, nie miał on nic ze sobą, prócz trochę tabaki i dwie flaszki oleju do lampy, którego mimo głodu przełknąć nie mógł. Co chwila tylko pokrzepiał się wodą, napojoną częściami kruszcowemi. Zdrowie jego nie poniosło żadnego uszczerbku, wychódł tylko jak szkielet. Gdy uwolniony został z tego żywego grobu, puls bił mu jeszcze dosyć mocno, albowiem na minutę dawał 84 tętnień. Natychmiast dano mu trochę mléka, o które prosił, a potém kilka łyżek wina. Wkrótce zupełnie wrócił do zdrowia.

Joice Heth, mamka Washingtona. Kobiéta ta 120letnia wzbudza poszanowanie w całych Zjedn. Stanach. W jedném z pism amerykańskich następującą czytamy wiadomość: Cała jéj powierzchowność podobną jest do żyjącéj mumii. Gdyby nie jéj lekki wolny oddech, słuch dobry i głos mowy, chociaż bardzo słaby, nie przekonywały, że to ciało ożywione jest duszą, każdyby sądził przeciwnie. Znałem pewnego człowieka w Szkocyi, który, jak pokazało się z ksiąg kościelnych, umarł w 115m roku życia swego, lecz nie miał tak bardzo wyschłéj i zwiędłéj twarzy, jak ta staruszka. Tomasz Parr, którego pomnik stoi w opactwie westminsterskiém, miał żyć półtora wieku, jednakże na kilka dni przed śmiercią mógł wychodzić. Nie dawno odwiedzając Joice Heth rzekłem do niéj: »Joice! miałaś wtenczas lat 17, kiedy Washington się urodził (1732), jakże już mogłaś być jego mamką?« — **Ona**: »Byłam przy jego urodzenia; powijałam go i nańczyłam.« — **Ja**: »Jakiego jesteś wyznania?« — **Ona**: »Jestem baptystką; przed więcéj niż stoma laty ochrzczono mię w Potomaku.« — Oprócz mnie znajdowało się tam obecnych kilka kobiét; te zapytały ją, czego się spodziewa po śmierci? Joice odpowiedziała: »Moja cała nadzieja jest w Jezusie Chrystusie.« Damy zaczęły spiéwać hymn pobożny, ażeby przyjemną rozrywkę staruszce sprawić. Piękna melodyja elektryczny wpływ wywarła na ten żyjący kościotrup; grobowym głosem wtorując temu pieniu, pobożnie złożyła ręce, których wyschłe palce i długie paznogcie podobne były do orlich szponów. Joice Heth od lat młodych lubiła namiętnie palić tytoń, i dowiodła na sobie, że tytoń jest bardzo powolną trucizną, powolniéjszą, niż mocna kawa Woltera, kiedy tak pomału zabija.

Strój kobiét z wysp Sandwichskich. Kobiéty z wysp Sandwichskich są piękne i rosłe. Za ubior im służy materyja, w kraju robiona, 9 łokci dłuąa, a 3 széroka, którą do sześciu razy okręcają koło siebie. Wyższa część téj materyi ma podobieństwo do wybijanego katunu, tak pięknie jest farbowaną. Na tę szatę zarzucają jeszcze coś białego, czarnego lub pstrego w kształcie chustki; na szyi wyspiarek wisi piszczałka i małe źwierciadełko, bez tych dwóch rzeczy nie można być elegantką. Koło szyi noszą także plecionki z włosów kochanków. Niektóre włos mają długi i z tyłu związany, inne znowu obcinają go gładko, lub z tyłu zaczesują na czoło i wapnem go bielą, któryto strój bardzo jest podobny do czépka. Nad wszystko przenoszą one białe męzkie koszule i czarne jedwabne chustki, w których bardzo im do twarzy.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.